KRESOWIAK GALICYJSKI

ISSN 1426-4773

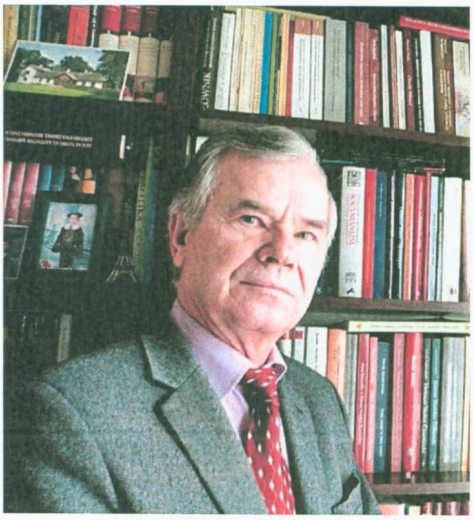
Nr 1 (290) Styczeń 2021

www.kresowiakgalicyjski.pl

Cena 3 zł (w tym 5% VAT)

Indeks 334596

CZYTELNIA MBP CIESZANÓW



Henryk Gmiterek (Lublin)

LICEALNE CZASY W TANECZNYCH PLĄSACH

Przeszło pół już wieku, z zapoczątkowanej przed ponad siedemdziesięcioma laty w Narolu Wsi drogi życiowej, moim miejscem na ziemi stał się Lublin, miasto najpierw studiów, a potem pracy zawodowej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Tam nie tylko wstępowałem na coraz wyższe szczeble wtajemniczenia w służbie muzy Clio, ale przede wszystkim założyłem rodzinę, znalazłem krąg przyjaciół i bliskich znajomych, poznałem wielu ciekawych i interesujących ludzi. Choć zatem stał się Lublin tym miastem, do którego z przyjemnością powracałem z licznych, nieraz odległych podróży, to jednak nigdy nie wygasło we mnie przywiązanie do bliskich mi stron rodzinnych. Tak jest zresztą do dziś, zwłaszcza że po rodzicach odziedziczyłem dawne obejście gospodarskie, które po remontach, przeróbkach i nasadzeniach stało się znakomitą przystanią na lato dla dziś już trzypokoleniowej rodziny.

Z Narola niedaleko już do Lubaczowa, który także na stałe zapisał się w mojej nostalgicznej pamięci. W latach 1964-1968 spędziłem tu na edukacji w liceum niezapomniany czas nie tylko zdobywania wiedzy, ale też uczenia się w miarę samodzielnego życia, poznawania ludzi, pierwszych życiowych doświadczeń i uniesień. Mieszkałem w internacie, w samym centrum miasta, w kilkudzie-

cd. na str. 6

ZAPOMNIANA NEKROPOLIA

Na cmentarzach żydowskich panuje cisza, spokój zakłócić może jedynie pieśń snująca się między zapomnianymi macewami. Skarga narodu wybranego, który czterdzieści lat tułał się po pustyni z nadzieją odnalezienia drogi do Ziemi Obiecanej. Pokolenie, które wyszło z domu niewoli, nie dotarło do niej. Kolejne dopiero osiągnęło cel. Na grobach pogrzebanych bliscy kładli kamienie nie tylko przez szacunek i pamięć, ale też z obawy przed dzikimi zwierzętami, które rozszarpać mogły szczątki doczesne. Zwyczaj pozostał do dzisiaj.

Po człowieku pozostają wspomnienia, rzeczy też inne, zbywalne. Kiedy odchodzą wszyscy najbliżsi, pamięć zanika. Pozostaje je-

cd. na str. 5



Drzewo pochłaniające macewy (fot. W. Huk)



Od lewej: Małgorzata Stelmach nauczycielka, Martyna Kiełbasa I m. z kategorii fotograficznej, Zofia Garbacz wyróżnienie i dyrektor MBP K. Pelc-Antonik

MIŁOŚNICY REGIONU

Pandemia koronawirusa nie spowodowała śmierci konkursu „Wiem wszystko o mojej miejscowości", organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną im. Władysława Broniewskiego w Lubaczowie. W dniach 10 i 11 grudnia 2020 r. odbyło się wręczenie nagród laureatom jego 23. edycji. – *W tym roku, pomimo licznych trudności związanych z epidemią, uczestnicy konkursu nie zawiedli. W sumie wpłynęło 48 prac (5 historycznych, 30 plastycznych, 13 kompletów zdjęć) od 49 uczniów, przygotowanych pod kierunkiem 13 nauczycieli z 8 szkół z terenu powiatu lubaczowskiego* – informuje dyrektor biblioteki Katarzyna Pelc-Antonik.

Oceny nadesłanych prac dokonało profesjonalne jury, niezwiązane z żadną szkołą. Prace historyczne ocenili: Zygmunt Kubrak – doktor historii, były dyrektor Muzeum i prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubaczowskiej, Ryszard Antonik – historyk, emerytowany dyrektor Publicznego Gimnazjum nr 2 w Lubaczowie, Dariusz Sałek –

cd na str. 11

POWIAT W CIENIU KORONAWIRUSA

Pandemia zmieniła nasze życie. Wszyscy znaleźliśmy się w nowej, nieznanej dotąd rzeczywistości. Zanikły więzi sąsiedzkie, towarzyskie. Nasze formy bycia z bliskimi stały się inne – online, telefoniczne, listowe.

Dość długo w województwie w skali zakażeń nasz powiat był daleko w tyle. Niosło to pewne uspokojenie, ale i bagatelizowanie zagrożenia. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Od ostatnich dwóch miesięcy wyprzedzamy szereg z nich. Jest więc powód do niepokoju. Tym bardziej, że mamy utrudniony bezpośredni kontakt z lekarzem. Ale niestety za konsekwencje tego stanu będziemy płacić wszyscy. Oto wypowiedz lekarza anestezjologa Adama Kruszewskiego: „Ogromnym ukrytym kosztem społecznym – my to może policzymy w ciągu kilku następnych lat – są utrudnienia w dostępie do służby zdrowia. Ktoś, kto dziś ma zawał, udar, cukrzycę, pierwsze stadium nowotworu – on nie dostanie się od razu do lekarza, tylko za pół roku, jak będzie już miał przerzuty. I w związku z tym umrze za dwa lata, a nie za sześć".

W samorządach kontakty z klientami zostały ograniczone do minimum. Wiele spraw jest załatwianych poprzez internet i telefon. A jeśli kontakt osobisty to w wcześniej uzgodnionym terminie. Prawdą jest, że koronawirus postawił samorządy w nader trudnej sytuacji. Kończy się u nich nie tylko czas łatwego pieniądza, ale też łatwego rządzenia czy wręcz urzędowania. Nastąpił zdecydowany spadek ich dochodów, które płyną z podatków i które uległy gwałtownemu zmniejszeniu. Na dodatek polityka rządu sprowadza się do przerzucania coraz to nowych wydatków na samorządy. Jest więc temat do refleksji.

Szereg samorządów w kraju podejmuje akcje niesienia pomocy szczególnie ludziom starym i samotnym, zarażonym czy zagrożonym koronawirusem. Organizowane są dla nich zakupy, jak też w przypadku innych chorób, ułatwia się im kontakt z lekarzem. W wielu powiatach powstały grupy samopomocowe, ludzie dzielą się jedzeniem z potrzebującymi, przynoszą posiłki medykom, wynoszą śmieci za sąsiadów, którzy nie mogą wychodzić z domu.

Natomiast do naszego powiatu wkroczyła polityka. A nie ma w powiatowych opłotkach groźniejszego zjawiska jak politykierstwo. Polityka na tym szczeblu jest zabójcza dla rozwoju lokalnego. W praktyce oznacza ona stawianie tylko na swoich. Nie kwalifikacje, wiedza, inwencja, doświadczenie jest decydujące przy doborze kadr, ale orientacja polityczna. Konsekwencją jest brak perspektyw rozwoju i dreptanie w miejscu.

Oto na szefa Powiatowego Centrum Kultury na 1/8 etatu powołany został brat Marty Tabaczek, przewodniczącej Rady Powiatu. Dotychczas obowiązki dyrektora pełniła Monika Buczek, wieloletni pracownik PCK, ale nieważny jest dorobek i kompetencje pracowników. Nie bierze się pod uwagę dotychczasowych osiągnięć: organizacji wielu imprez, współpracy z organizacjami pozarządowymi czy pięknych wydawnictw o regionie, których zazdroszczą inne samorządy. Trudno się doszukać innych, poza politycznymi, przesłanek podjęcia takiej absurdalnej decyzji. Przewodnicząca jest w koalicji rządzącej powiatem i chodzi po prostu o to, aby w Powiatowym Centrum Kultury mieć „swojego" człowieka. A więc nie troska o rozwój kultury przyświecała inicjatorom tej decyzji, ale właśnie polityka.

Z kolei na ostatniej sesji z funkcji przedstawiciela powiatu lubaczowskiego w Związku Powiatowo-Gminnym Ziemia Lubaczowska odwołany został Paweł Głaz. Osoba kreatywna, która w działalność starostwa wnosiła europejskość i przełamywała zaściankowość, znająca powiat jak własną kieszeń. Można powiedzieć, że była to kara za jego rezygnację z funkcji wicestarosty i tym samym wystąpienie z rządzącej powiatem koalicji.

Nawet w zmagania z koronawirusem w powiecie wkradła się polityka. Oto dyżury na korytarzu przy wejściu do starostwa mają pełnić pracownicy Powiatowego Centrum Kultury. W domyśle powód jest oczywisty. Chodzi o marginalizowanie tych ludzi, bo starosta nie kryje zamiarów likwidacji tej placówki. Przecież zdrowy rozsądek mówi, że te dyżury powinne być rozłożone równomiernie na wszystkie wydziały w Starostwie, jak też i na pracowników, chociażby Muzeum Kresów.

Pandemia dogłębnie zweryfikuje każdego burmistrza, wójta, starostę. Przyszło im zdawać najtrudniejszy egzamin. Z dystansu czasu, gdy koronawirus minie, będziemy mogli bez wahania powiedzieć, które samorządy, mimo trudności, zdały go pozytywnie, a które wikały się w politykę.

Marian Ważny

RÓŻNE ODCIENIE STAROŚCI

„...i żyli długo i szczęśliwie" – tak kończy się każda pozytywna bajka. Czyż nie jest to piękny widok – leciwej pary dreptającej przez park, trzymającej się kurczowo za drżące ręce. Niestety nie każdemu jest dane dożyć sędziwych lat we względnym zdrowiu i co najważniejsze, razem z żoną lub mężem. Często starość jest drogą przez mękę, pełną cierpień fizycznych i duchowych, samotności, z dala od swojej rodziny. Wraz z rozwojem cywilizacji ten sposób przebycia ostatniego etapu życia ciągle się zmienia. Coraz więcej ludzi młodych wybiera życie w miastach, pozostawiając samych sobie rodziców i dziadków. Symptomatyczne jest to, że starzy ludzie niechętnie zmieniają miejsce wieloletniej egzystencji, bo jak mawia utarte powiedzenie, „starych drzew się nie przesadza". Np. taki przypadek z Czereśni, kiedy owdowiały mąż został zabrany przez syna do mieszkania z wszelkimi wygodami w bloku, lecz po kilku tygodniach uciekł z powrotem do swojego starego domu. Tacy ludzie, zwłaszcza na wsi i w małych miasteczkach, wolą mieszkać na swoich śmieciach, często w prymitywnych warunkach bez bieżącej wody i łazienki, opalając mieszkanie w piecach własnoręcznie urąbanym drewnem.

Ze skromnej emerytury, kosztem własnej egzystencji, chcą uszczknąć jakiś grosz, bo przecież odwiedzą ich czasem dzieci i wnuki, to wypada im coś dać. Takie jest rodzicielskie serce. „Ja tam jakoś przeżyję, a dzieciom trzeba pomóc". A oni przyjadą, pozerkają na smartfony, cmokną w rękę i spiesząc się, odjadą, bo wnuki na angielski, basen, naukę tańca lub muzyki i tak do następnego spotkania. Wyjeżdżają w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Kiedy jednak często schorowany i niemogący sam egzystować rodzic potrzebuje opieki – dzieci niezbyt chętnie przyjmują go pod swój dach, bo przez swoją niedołężność zakłóca ich codzienne funkcjonowanie, nieładnie pachnie i cierpi na sklerozę lub demencję. I wtedy powstaje największy dylemat życiowy, bo to przecież ojciec lub matka – oddać ich do domu starców czy kosztem własnych wyrzeczeń i niedogodności dalej się nimi opiekować? Ile pytań, tyle rozterek duchowych. Częściej jednak decydują się na ten pierwszy krok, bo starzy będą mieli całodobową opiekę pielęgniarską i medyczną, wyżywienie i godne warunki zakwaterowania.

W powiecie lubaczowskim funkcjonują domy starców takie jak: „Ostoja" w Podemszczyźnie, NZOL Niemstów i Nowe Sioło. Bardzo ładnie wyglądają na zewnątrz i wewnątrz. Lecz kryją wiele ludzkich dramatów. Rozmawiam z pielęgniarką jednej z placówek: „Mamy tu różnych ludzi, jak to w normalnym życiu – spokojnych, ale też agresywnych, którym ciągle coś nie pasuje, często bezsilnych w swojej traumie. Bardzo potrzebują kontaktu z drugą osobą, chcą rozmawiać. W nocy przywołują imiona swoich bliskich, trzymając nas za rękę. Niestety nie jesteśmy w stanie wszystkim poświęcić za wiele czasu. Nasza praca jest ciężka i musimy podołać wszystkim i wszystkiemu. Starzy bardzo wyczekują wizyt swoich krewnych i odnoszę wrażenie, że nie jest dla nich ważne, co przyniosą – cieszą się każdą chwilą spędzoną razem. Zdarza się, że ci mniej chorzy bardzo źle znoszą panujące wokół nich zachowanie innych, zwłaszcza w sferze psychicznej". Lepszym rozwiązaniem jest zatrudnienie prywatnie osoby do opieki nad rodzicem. Jest to system bardzo popularny w krajach zachodnich. U nas ta forma też działa już w aglomeracjach miejskich. Rzecz w tym, że nie każdego stać na opłacenie usług wynajętej opiekunki.

cd. na str. 3

cd. ze str. 2

RÓŻNE ODCIENIE STAROŚCI

Żeby nie kończyć tego artykułu w minorowym nastroju, chcę przedstawić coś pozytywnego. Często starsi ludzie sami sobie gotują taki los. Istnieje potrzeba złamania ustalonego stereotypu, że jak jestem stary to niewiele mi oprócz zdrowia i jedzenia potrzeba. Należy wyjść z domu do innych, też potrzebujących kontaktu z otoczeniem, ale to wymaga samodyscypliny. Nie siedzieć w domu i biadolić nad swoim losem, ładnie się ubrać, trochę podrajcować (zwłaszcza panie) i utworzyć taką małą wspólnotę we własnym gronie. Doskonałym przykładem jest Dom Dziennego Pobytu „Synagoga" w Cieszanowie. Uśmiechnięte na zdjęciach twarze pań: Sitarzowej, Piwudzkiej, Szczepańskiej, Pasławskiej i innych – realizujących różne projekty – najlepiej o tym świadczą. Podobny dom pobytu powstał również w Chotylubiu. W przyszłości takie placówki powinny działać w większości miasteczek i wiosek.

R. Kaczka



16 grudnia, w 98. roku życia, zmarł mój Drogi Tata Adolf Kaczka – najstarszy mężczyzna Czereśni. W swoim długim życiu przeżył wiele tragedii osobistych jak śmierć dzieci, siostry, żony i innych krewnych. Jako czterolatek wyemigrował wraz z rodzicami na 10 lat do Francji. W czasie wojny uciekł z transportu kolejowego zdążającego do obozu zagłady w Stutthof, przebywając kilkaset kilometrów w drodze do domu. Po wojnie pracował w SOK Szczecin, POM Dachnów, SKR Cieszanów. W czasie mojego dzieciństwa uczył mnie tolerancji, szacunku i obiektywnego spojrzenia na życie. Zaszczepił we mnie pasję do czytania książek i czasopism. W ostatnich latach życia, kiedy wymagał szczególnej opieki – córka Marysia wraz z domownikami dali mu ciepło rodzinnego domu. Przeżył tę ostatnią prostą wśród swoich, odwdzięczając się czułymi gestami.
Tato, zostawiłeś po sobie nieśmiertelny bagaż mądrości życiowych, z których choć w części będę czerpał. Cześć Twojej pamięci.

Syn Ryszard

Ruda Różaniecka najpiękniejszą wsią podkarpacką w 2020 roku



Konkurs „Piękna Wieś Podkarpacka" przez Samorząd Województwa Podkarpackiego w 2020 r. realizowany był po raz dziewiąty. Ma on na celu pokazanie szerszemu kręgowi odbiorców piękna wiejskiego krajobrazu, promowanie idei wspólnego działania społeczności wiejskiej, nastawionego na uzyskanie wspólnej korzyści w postaci przyjaznej dla mieszkańców, zadbanej, pięknej wsi stanowiącej wizytówkę nie tylko społeczności lokalnej, ale również regionu. Stwarza on doskonałą okazję do promowania i nagradzania tych sołectw z terenu województwa podkarpackiego, których mieszkańcy pielęgnują środowisko naturalne, chronią lokalne dobra kultury i krajobraz oraz aktywizują społeczność sołectwa do wspólnych działań.

28 grudnia ub. r. w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Podkarpackiego w Rzeszowie odbyła się uroczystość wręczenia nagród laureatom i wyróżnionym w tym konkursie. – *Od lat realizujemy Podkarpacki Program Odnowy Wsi jako jedno z pięciu województw w Polsce. Jednym z elementów programu jest konkurs „Piękna Wieś Podkarpacka" i cieszę się, że co roku spotyka się on z tak wielkim odzewem* – mówił wicemarszałek Piotr Pilch, gratulując zwycięzcom..

Ubiegłoroczna edycja konkursu „Piękna Wieś Podkarpacka 2020" była wyjątkowa pod wieloma względami. Konkurs przebiegał w jednym etapie, a komisja konkursowa wyłoniła laureatów na podstawie nadesłanych prezentacji multimedialnych oraz dokumentacji opisowych. Do konkursu wpłynęło aż 31 zgłoszeń. Jury, składające się z 6 przedstawicieli Departamentów Urzędu Marszałkowskiego, zdecydowało, że najpiękniejszą wsią podkarpacką za rok 2020 jest Ruda Różaniecka z gminy Narol. Drugie miejsce zajęła Bircza, a trzecie – Cierpisz. Na dziesiątej pozycji uplasował się Radruż z gminy Horyniec Zdrój. W konkursie z powiatu lubaczowskiego brały jeszcze udział miejscowości Stary Dzików i Młodów z gminy Lubaczów. Nagrodę zdobytą przez Rudę Różaniecką odebrał sołtys sołectwa Ruda Różaniecka Witold Rozner oraz burmistrz Miasta i Gminy Narol Grzegorz Dominik.

– *Ruda Różaniecka to największa wieś w gminie Narol, położona na przedpolu Roztocza, pośród Puszczy Solskiej, licząca 1200 mieszkańców. Wieś powstała w II połowie XVII wieku jako osada przemysłowa na bazie miejscowych złóż rudy darniowej, otaczających lasów i wód. W 1821 roku Ruda Różaniecka przeszła w ręce prywatne Brunickich i Wattmanów, którzy rozwinęli produkcję przemysłową.*

Czasy niewoli i wojen ukazały patriotyzm mieszkańców w bitwie partyzantów AK z Niemcami w czerwcu 1944 roku, w dramacie 330 osób z Rudy wywiezionych do Majdanka i na roboty przymusowe do Niemiec. Taka historia ukształtowała charaktery i mentalność mieszkańców Rudy Różanieckiej, którzy są bardzo zintegrowaną społecznością, swoją pracowitość i zaangażowanie w życie wsi potwierdzają każdego dnia – mówi dyrektor Zespołu Szkół w Rudzie Różanieckiej Dorota Wróbel. Ona to sporządziła opis do wniosku.



Od lewej: sołtys Rudy Różanieckiej Witold Rozner, burmistrz Narola Grzegorz Dominik, wicemarszałek woj. podkarpackiego Piotr Pilch

Do najcenniejszych zabytków zalicza zespół pałacowo-parkowy Brunickich i Wattmanów z XIX wieku wybudowany w stylu neobarokowym, zabytkowy budynek oficyny dworskiej z końca XVIII wieku. We wsi znajduje się cmentarz komunalny oraz pięknie położony i odnowiony w 2019 roku cmentarz partyzancki, gdzie spoczywają miejscowi partyzanci Armii Krajowej, którzy polegli w niemieckiej akcji Sturmwind II.

Ruda Różaniecka posiada bezpieczną infrastrukturę komunikacyjną. Wszystkie drogi w miejscowości są asfaltowe, wykonane lub wyremontowane w ostatnich latach z wykorzystaniem środków unijnych i krajowych. Od 2003 roku wieś jest zwodociągowana i skanalizowana.

Mieszkańcy są niezmiernie zaangażowani w życie wsi. W ramach środków funduszu sołeckiego wyremontowali świetlicę wiejską, ośrodek zdrowia, naprawiali lokalne drogi i miejscowy deptak. We wsi działają aktywnie stowarzyszenia i organizacje pozarządowe: Koło Gospodyń Wiejskich (od 1948 roku), Ochotnicza Straż Pożarna (od 1931 roku, przy której działa również Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza Chłopców), Ludowy Klub Sportowy „Roztocze" (od 1983 roku), 3 Drużyna Harcerska ZHP.

Dla przybywających coraz liczniej turystów została zbudowana baza noclegowa. Największą liczbą miejsc noclegowych w wysokim standardzie dysponuje ośrodek wypoczynkowy „Dębowy Dwór" (59 miejsc). We wsi są także gospodarstwa agroturystyczne. Ruda Ró-

cd. na str. 11

W PGR BYLI NORMALNI LUDZIE (I)



Po wspomnieniach licealnych i świątecznych chciałbym wrócić do okresu dzieciństwa spędzonego, jak pisałem przy okazji świątecznych obchodów, w środowisku PGR-u w Narolu. Dzisiaj stało się niemal modą wracanie do swoich korzeni. Są to przeważnie zmitologizowane korzenie kresowe lub szlacheckie. W niczym nie ujmując wartości tej kresowo-szlacheckiej mitologii, muszę przyznać, że mnie ona śmieszy. Z tego prostego powodu, że zdecydowana większość dzisiejszego społeczeństwa polskiego nie ma z tym nic wspólnego. W zdecydowanej większości, czyli w 90%, wywodzimy się bowiem z chłopów. Dla mnie nie ma w tym nic ujmującego. Wprost przeciwnie, to właśnie ta „źle obecna" w historiografii polskiej klasa społeczna nie jest obciążona feudalnym i kolonialnym dziedzictwem. Była na równi z innymi grupami, tym razem mniejszościowymi, jak chociażby Żydzi, zgodnie i pospołu wykorzystywana przez tak dziś gloryfikowaną szlachtę i dodać trzeba, również wyższy kler katolicki, wywodzący się zresztą również ze szlachty. Warto też dodać, że sprawa bynajmniej nie ma charakteru tylko historycznego. Po zmianach politycznych, społecznych, kulturowych, a nawet religijnych w 1989 roku odezwały się dawne przywary Polaków, którzy nie tylko z entuzjazmem włączyli się nie tylko w przebudowę struktur społecznych, ale znowu w zdecydowanej większości stali się ofiarami tych nie zawsze przemyślanych przemian. Co gorsza, ofiarami szczególnie dotkniętymi znowu zostali najubożsi i pozbawieni głosu w debacie publicznej. Jak się szybko okazało największymi beneficjentami okazała się klasa polityczna (i to niezależnie od partyjnych barw).

Szczególnie odrażającym aspektem neoliberalnej ideologii, która zdominowała pierwsze dziesięciolecia III RP, było upolitycznienie religii i podniesienie do sakralnego niemal poziomu polityków i to na wszystkich poziomach władzy. Są to dzieje, które czekają ciągle na swego dziejopisa, ale już dzisiaj można powiedzieć, że zarówno kler, jak i politycy zaczynają płacić wysoką cenę za sprzeniewierzenie się ideałom solidarności społecznej i troski o najbardziej potrzebujących i skrzywdzonych. Bo przecież ruch Solidarności, jak sama nazwa wskazuje, zrodził się właśnie z potrzeby przezwyciężenia, narosłej przez dziesięciolecia totalitarnej władzy, społecznej krzywdy. Niestety nie spełnił on rozbudzonych nadziei, ale stał się ich zaprzeczeniem. Dzisiaj galopujący spadek autorytetu Kościoła katolickiego i coraz liczniejsze protesty społeczne na ulicach wszystkich niemal miast naszego kraju to zewnętrze przejawy tego społecznego niezadowolenia i wołania o zmiany. Po trzydziestu latach widać jak na dłoni, że zawiodła nie tylko polityczna klasa, i to zarówno ta wywodząca się z ruchu Solidarność, jak i ta mająca swoje korzenie w PRL-u, ale również katolicki kler. Jak to dzisiaj już jasno widzimy w świetle dostępnych publikacji, kler katolicki wcale nie był jedynie ofiarą opresyjnego systemu komunistycznego.



Pierwsza Komunia brata Ryszarda 1962

Wielu księży, a zwłaszcza biskupów, potrafiło się znakomicie dogadywać z ówczesną władzą, czego przykładem są takie postacie jak kardynał Henryk Gulbinowicz czy arcybiskup Stanisław Wielgus. Poza tym, jak staje się coraz bardziej jasne, Kościół nigdy nie rozliczył się ze swoją ciemną stroną własnej historii, która dopiera w ostatnich latach jest nagłaśniania dzięki wytrwałej pracy dziennikarzy. Ofiary pedofilii przestępców w sutannach ciągle czekają na sprawiedliwość dziejową i wstydliwie milczą o doznanej krzywdzie. To musi się zmienić i to się zmienia. Jednym ze sposobów oczyszczenia naszej pamięci jest stanięcie w prawdzie, niezależnie od tego, jak byłaby ona bolesna. Dlatego nie można się godzić na sojusz ołtarza z tronem, którego najnowszą odsłoną jego agitowanie za „jedną słuszną partią" na kościelnych ambonach. Takie fakty budzą uzasadnione oburzenie społeczne i powinny być napiętnowane, co na szczęście się dzieje. Tylko polityk i samorządkowiec, który jest gotowy służyć społeczeństwu niezależnie od związków z klerem czy układami towarzyskimi, zasługuje na miano społecznika i może być obdarzony zaufaniem lokalnej społeczności. Przy każdorazowych wyborach powinien być tylko z tego rozliczany, co dobrego zrobił dla wspólnoty, a nie czy jest mocno popierany przez proboszcza, biskupa czy przywódcę partyjnego w odległej centrali.

To właśnie w tym kontekście widzę wartość powrotów do korzeni, które nie są jedynie nostalgicznymi powrotami do utraconej krainy szczęśliwości dzieciństwa, ale przypomnieniem, że inny świat jest możliwy. Świat, w którym porządek wyznaczała troska o najbardziej potrzebujących i narażonych na krzywdę. Dzieci mają nieomylny zmysł i potrafią bezbłędnie ocenić, kto naprawdę jest po stronie dobra, a kto tylko wygłasza frazesy bez pokrycia. Miałem to szczęście, że moje dzieciństwo przeżyłem w gronie ludzi dobrych, którzy zrobili wszystko, by zapewnić mnie i moim rówieśnikom jak najszczęśliwsze życie.

Tak więc bez kompleksów, a nawet z poczuciem dumy płynącej z przynależności do grupy społecznej, która przez większość nadal jest pogardzana i marginalizowana, chciałbym skreślić kilka obrazów z dzieciństwa przeżytego właśnie w PGR-ze zniszczonym przez neoliberalną ideologię, której konkretnym i nieludzkim przejawem był dziki i drapieżny kapitalizm, w którym zwyciężał ten najsilniejszy, a często najbardziej bezczelny.

A wszystko zaczęło się w roku 1956, kiedy przyszedłem na świat w szpitalu w Tomaszowie Lubelskim, czego oczywiście nie pamiętam, i tylko coraz częściej podpisywane przeróżne oświadczenia mi przypominają o tym fakcie. To musiał być słoneczny, gorący dzień sierpnia i zapewne cała społeczność Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Narolu żyła żniwami i zbliżającymi się jak zwykle radosnymi dożynkami, których oczywiście też nie pamiętam. Najwcześniejsze wspomnienie odżywa dzięki fotografii z pogrzebu dziadka ze strony taty Kazimierza, Wojciecha, na którym widnieję jako roczne dziecko. Moje pierwsze zapamiętane doświadczenia łączę z nieistniejącymi już dzisiaj barakami usytuowanymi niedaleko zabudowań gospodarczych PGR-u. W nich mieścił się też sklep wielobranżowy, w którym pracowała mama Cecylia. Stamtąd chodziliśmy w trójkę (byłem z niej najmłodszy) do oddalonego o kilkaset metrów od miejsca zamieszkania przedszkola prowadzonego przez siostry felicjanki. Zachowało się z tamtego okresu zdjęcie, które załączam do tych wspomnień. Nawet dzisiaj, po sześćdziesięciu latach, rozpoznaję wielu rówieśników i rówieśniczki. Oczywiście najcieplej wspominam siostrę Serafię, która była dyrektorką przedszkola i stwarzała niezwykle ciepłą atmosferę. To właśnie tam nasiąkałem atmosferą wzajemnego zaciekawienia, radości i wspólnych zabaw. Jako trudne doświadczenie pamiętam odejście sióstr zakonnych, którym, jak rozumiem, podziękowano za pracę chyba w 1961 lub 1962 roku. Ale już niebawem miałem i tak przenieść się do szkoły podstawowej.

Z tamtego przedszkolnego okresu zachowała się w rodzinnym archiwum fotografia upamiętniająca pierwszą komunię najstarszego brata Ryszarda. To zdjęcie na pewno zrobione w jedynym zakładzie fotograficznym działającym wówczas w Narolu, u pana Wolańczyka.

Stanisław Obirek

ciąg dalszy nastąpi

cd. ze str. 1

ZAPOMNIANA NEKROPOLIA

dynie mogiła, na niej płyta nagrobna, zwana na cmentarzach żydowskich macewą, inskrypcja na niej zapisana w języku hebrajskim pozostanie przez nas nieodczytana.

Charakterystyczne są na nich dwie wyryte litery: „pe" i „nun", skrót od hebrajskiego zwrotu „tu pochowany". Na macewach nie podawano daty urodzin. Enigmatyczne określenia przybliżyć nam mogły wiek zmarłego. *Mąż stary i sędziwy. Wyrwana w młodym wieku.* Nie odnajdziemy też na nich wizerunków zmarłych. Przystając przy nich, spoglądnijmy na płaskorzeźbę w górnej ich części, każda z nich jest symboliczna. Dzięki nim poznać możemy charakter i zasługi człowieka, który odszedł na zawsze, pozostawiając jednak po sobie ślad nikłej pamięci.

Złączone ręce w geście błogosławieństwa spotkamy na stelach kapłanów. Odnajdując symbol świecy, pewni będziemy, że w miejscu tym spoczywa ciało kobiety. W żydowskiej rodzinie to ona zapala szabasowe świece. Złamana świeca oznacza przerwane życie. Motyw skarbonki lub ręki wrzucającej do niej monety wskazuje na człowieka pochylającego nad losem ubogich i pokrzywdzonych. Symboli jest bardzo wiele, zadziwia ich różnorodność.



Macewy na lubaczowskim cmentarzu (fot. W. Huk)

Świat nam nieznany kryje tajemnice. Nie poszukując wytłumaczenia, pozostaniemy w nieświadomości, niekiedy pogardzając. Zwyczaj kładzenia glinianych skorup na oczy zmarłego zadziwia, ma jednak swoje uzasadnienie. W spojrzeniu każdego człowieka czai się zawiść. Pragnienia doczesne czekają wygaśnięcia. Symboliczne zamknięcie oczu kładzie kres wszelkiej nieszlachetności.

Żałoba, zwana sziwą, trwała siedem dni. Najbliżsi nie opuszczali swojego domostwa, czekali w swym udręczeniu pocieszenia. Nie zapalano światła, lustra okrywała szlachetna materia. Mężczyźni się nie golili, kobiety nie obcinały włosów. Nie wkładano też skórzanego obuwia. Sziwę mógł przerwać tylko szabas trwający od piątku po zachodzie słońca do soboty o zmierzchu, bądź święta.

Nekropolia w Lubaczowie powstała na początku XVIII wieku poza obwałowaniem miejskim. Nie posługuję się najczęstszym określeniem „kirkut", pochodzącym z języka niemieckiego, z szacunku. Izraelici unikają tego słowa, miejsce ostatniego spoczynku nazywają domem wieczności bądź domem świata.

Zachowało się na niej 1665 macew. Najstarsza, o nieregularnym kształcie, pochodzi z 1728 roku. Upamiętnia Itę, córkę Jaka z Lubaczowa. Do dziś pozostała inskrypcja wykonana ręką sprawnego mistrza. Czas okazał łaskę stelom z wapienia roztoczańskiego, srożej obszedł się z uczynionymi z piaskowca.

Wiąz górski nie zważa na macewy, z kolejnymi latami pochłania trzy z ponad tysiąca. Nie sposób zaprotestować przeciw prawom natury. Wiosną, przed ukazaniem się liści, pojawiają się na nim maleńkie jasnobrązowe kwiaty... Nie odnajdziemy ich na grobach. Dla izraelitów są symbolem życia. Majestatyczny wiąz osiągnąć może wysokość 40 metrów, przypominając swą liczbą lata spędzone przez naród wybrany na pustyni. Nie wszystko usprawiedliwić można przypadkiem.

Podobnie jak i historii Josefa Hirsza Reinfelda, który w 1930 roku ufundował mur, który ogrodził, otulając cmentarz od świata doczesnego. Żyjąc w ubóstwie, stawić musiał czoła pracom najcięższym, został poganiaczem bydła do rzeźni. Świadom, że praca ta nie zapewni mu bytu, odnalazł drogę inną, wiodącą przez ocean do Stanów Zjednoczonych. W czasach prohibicji dzięki swoim talentom osiągnął znaczne zyski. Nie pozostał w świecie, który tak hojnie go obdarował, lecz powrócił do miejsca swojego, Lubaczowa. W szlachetnej myśli wspomniał o tych, którzy prosić już nie mogli. Mógł zostać i zapomnieć, nie uczynił tego, wbrew prawom rządzącym światem. Wydrwił prawo zapomnienia.

Inni w swej pysze zatarli wszelkie granice. W 1942 r. w Lubaczowie utworzone zostało getto, 6 tysięcy ludzi czekać mogło jedynie śmierci. Jesienią ponad dwa tysiące z nich wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu. W styczniu 1943 roku okupant dokonał rzezi na cmentarzu, miejscu wyświęconym przez pamięć i godność człowieka. Nikt nie ogarnie, jak wielu ich tam było. Pozostaną chłodne wyliczenia. Od 450 do 2000 tysięcy. Zagubione losy, myśli i nadzieje. Człowiek na kształt cyfry, staje się zapomnieniem, uwzględnianym niekiedy w statystykach. Cztery lata później rozebrano ruiny synagogi.

Zima tamtego roku była sroga, ziemia zamarznięta. Nie wszystkie ciała mogły spocząć na miejscu kaźni, część została przewieziona na pola pobliskiego Dachnowa. Zostały rzucone do rowów przeciwczołgowych. Niewielu pamięta. Samotna macewa na kształt pomnika upamiętnia zagładę, oby słowa wykute na niej nie pozostały porzucone przez pamięć.

„Nie znamy waszych nazwisk, lecz zawsze będziecie w naszych sercach. Pamięci Żydów z lubaczowskiego getta oraz innych ofiar holocaustu zamordowanych przez hitlerowskich Niemców w Lubaczowie i okolicach w 1943 roku".

Cmentarz przetrwał wojnę, najboleśniejszy czas. W połowie lat osiemdziesiątych część jego ziemi przejął cmentarz komunalny. Z pewnością dokonywano na niej pochówków. Przed 1889 r. powiększono nekropolię o obszar, który został odebrany. Jedyny wniosek, brakowało miejsc. Ubogich rodzin nie stać było na kamienne macewy, zastępowali je drewnianymi, po których ślad zaginął. Według wielu świadków na ziemi zagarniętej pogrzebano wielu z rozstrzelanych w 1943 roku. Wytłumaczenie odebrania cząstki nawet najmniejszej brakiem macew jest żałosne.

Upływały kolejne lata. Wiąz rościł prawa, świadom swego majestatu. Chwasty wzbiły się ponad macewy, zawładnęły cmentarzem. Inni bezcześcili ziemię uświęconą. Nikt nie zważał. Obojętność bywa gorsza od zapomnienia.

Lidia Świder

cd. ze str. 1

LICEALNE CZASY W TANECZNYCH PLĄSACH

sięcioosobowym zespole chłopaków z różnych stron lubaczowskiego powiatu. Była to dla nas znakomita szkoła życia, poznawania różnych doświadczeń, uczenia się siebie wzajemnie.

Gdy w 1997 r. miałem po raz kolejny okazję być w Lubaczowie na jednej z organizowanych w Muzeum przez dr. Zygmunta Kubraka konferencji historycznych, w naszym dawnym internacie odkryłem już tylko różne sklepy, w tym także taki ze spodniami jeansami. Wszedłem, znalazłem coś dla siebie, gdy jednak młodej ekspedientce powiedziałem, iż nie spodziewałem się, że kiedyś w swojej dawnej sypialni będę kupował spodnie, spojrzała na mnie z widocznym zmieszaniem i zdumieniem, co też ten facet opowiada. Dopiero moje wyjaśnienie przyjęła ze zrozumieniem. Lubaczów od moich licealnych czasów zmienił się ogromnie. Tuż obok internatu mieliśmy np. boisko do gry w siatkówkę, a już od wielu lat stoi w tym miejscu dom towarowy.

Z bogatych wspomnień z lat lubaczowskiej edukacji chcę tu przywołać jeden z mniej znanych, a ważnych wówczas dla nas, młodych ludzi, epizodów, mocno zapisanych w pamięci. Dotyczy on wyjazdu w 1967 r. na Centralne Dożynki w Warszawie, które tradycyjnie odbywały się w tamtych latach na Stadionie Dziesięciolecia. Związane to jest z kolei z uczestnictwem w zespole tańca ludowego, jaki funkcjonował pod patronatem lubaczowskiego Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni.



Na stadionie podczas dożynek

We wrześniu 1965 r., po naszym powrocie z wakacji, w internacie pojawił się pan, który szukał chętnych do tworzącego się zespołu tanecznego. Okazało się potem, że był to instruktor-choreograf dojeżdżający z Jarosławia (nazwisko niestety uleciało z pamięci), z którym przez kilka następnych lat ćwiczyliśmy różne układy polonezów, polek, krakowiaków, oberków, mazurów, komponowanych potem w obszerniejsze wiązanki taneczne. Zgłosiło się nas bowiem kilku, choć nie wszyscy wytrzymali dłużej trudy dwukrotnych w tygodniu zajęć, odbywających się w oficynie kamienicy sąsiadującej z internatem. Na pianinie, a podczas wyjazdów w teren na akordeonie, akompaniował nam pan Stanisław Jagodziński, którego córka Basia również tańczyła w zespole i w niektórych układach była moją partnerką. Po latach dowiedziałem się, że jej Mama Wanda Banaś-Jagodzińska pochodziła z Narola Wsi, w czasie wojny należała do AK, ofiarnie pełniąc służbę w tzw. Wojskowej Służbie Kobiet (Jej wspomnienia można przeczytać w VI tomie „Rocznika Lubaczowskiego").

Pierwszy nasz publiczny występ miał chyba miejsce na scenie lubaczowskiego Powiatowego Domu Kultury w 1966 r., podczas 1-majowej akademii. Mimo tremy, większych wpadek chyba nie było i przy ciastku i pachnącej kawie w tamtejszej kawiarence (piłem taką kawę chyba po raz pierwszy) z przejęciem dzieliliśmy się swoimi wrażeniami i przeżyciami. Cieszyliśmy się, słysząc sporo pochwał i komplementów. Przygotowywaliśmy potem, również z myślą o mniejszych scenach, kolejne partie repertuarowe, z którymi jeździliśmy w teren. Pamiętam taki występ na scenie w zatłoczonej sali ówczesnego kina „Tanew" w Narolu, po którym usłyszałem słowa uznania od swojego Taty, a taka pochwała zdarzała Mu się raczej rzadko.

Największe przeżycie związane z tym zespołem to jednak wyjazd na wspomniane już dożynki. Z zespołu wytypowanych zostało kilka zaledwie par, wśród nich ja z Basią Jagodzińską. Pamiętam, że z kolegów ze swoimi partnerkami jechali Janek Stankiewicz, późniejszy sędzia w lubaczowskim sądzie i przedwcześnie zmarły prezes sądu w Przeworsku, Lucjan Górski, mój kolega nie tylko z klasy licealnej, ale i ze szkoły w Narolu Wsi, późniejszy pułkownik Wojska Polskiego, także znany w Lubaczowie Tadeusz Nieckarz.



Z Basią Jagodzińską, moją partnerką z zespołu

W połowie sierpnia 1967 r. pociąg z Jarosławia, którym podróżowaliśmy, wjechał późnym wieczorem na stację Warszawa Centralna, która przywitała nas rozgwieżdżonym niebem, pełnią księżyca i rozświetloną bryłą Pałacu Kultury. Przy dworcu czekały już na nas wojskowe samochody, które zawiozły nas na ul. Zamenhofa, do akademika Uniwersytetu Warszawskiego. Przez najbliższe 3 tygodnie był on dla nas bazą wypadową, tam mieszkaliśmy i jadaliśmy na stołówce posiłki. Codziennie rano podjeżdżała po nas kolumna wojskowych ciężarówek, która wiozła nas na Bielany, na boiska Akademii Wychowania Fizycznego, gdzie przez 2 tygodnie ćwiczyliśmy układy taneczne, jakie mieliśmy zaprezentować podczas dożynek. Ostatni tydzień ćwiczyliśmy już na płycie Stadionu Dziesięciolecia, w ogromnej stadionowej niecce znanej mi dotąd tylko z transmisji telewizyjnych.

Same dożynki miały miejsce w niedzielę, 3 września. Przyjechaliśmy na stadion dość wcześnie i zanim mogliśmy zaprezentować efekty naszej 3-tygodniowej pracy, trzeba było długi czas stać i siedzieć na stadionowej murawie, przyglądając się zapełniającym się stopniowo trybunom.

Wieczorem wsiedliśmy w pociąg do Jarosławia, by wkrótce potem dołączyć do kolegów, którzy rozpoczęli właśnie kolejny rok szkolny. Dla nas oznaczało to zarazem początek ostatniego etapu nauki w liceum, który za kilka miesięcy miał się zakończyć maturą.

Zanim jednak do niej doszło, z zespołem przeżyliśmy jeszcze jedną przygodę. W maju 1968 r. w Krakowcu, po ukraińskiej stronie granicy, odbyło się jedno z organizowanych wówczas dość często tzw. Spotkań Przyjaźni, tym razem powiatu lubaczowskiego i jaworowskiego. W prezentacji tego, co najlepsze, powiat lubaczowski reprezentował m.in. nasz zespół, który zebrał na scenie spore brawa. Poza wszystkim innym, dla mnie osobiście było to pierwsze w życiu przekroczenie granicy, co po występie – wszyscy mieliśmy już po 18 lat – uczciliśmy kieliszkiem ukraińskiej horiłki. Po maturze nasze życiowe ścieżki rozeszły się w różnych kierunkach i nie wiem nawet, czy ten zespół, z którym wiąże mnie tyle wspomnień z moich licealnych czasów, znalazł kontynuatorów zapoczątkowanej przez nas przygody z polskim folklorem.

Henryk Gmiterek



LIDIA ŚWIDER

WSTYD

Nie sposób obliczyć lat, niekiedy miesięcy, które będą dane. Rzeczy inne, przekraczające świat liczb, też nie podlegają rachubie, bezcenne w swej wzgardzie dla doczesności. Wszystko inne można kupić, sprzedać, zamienić. Na koniec pozostaje zaprzedanie samego siebie. W imię wygody, która nie usprawiedliwia, tylko pogrąża.

Człowiek może uczynić świat swój na podobieństwo wszechświata, ale też i na ten, który przypomina rynsztok. W drugim przypadku nie jest tego świadom. Pycha odbiera najmniejsze rozeznanie wartości. Osadza małość w wielkości. Grzech pierwszy pośród głównych nie bez powodu obrał zaszczytne miejsce w siedmiu.

***

Jerzy za wszelką cenę pragnął wyróżnić się z tłumu, gardząc nim, czekał poklasku. Dwoistość natury wyrachowanej. Wychodząc z domu, nie zauważał innych, celowo spoglądał przed siebie. Najczęściej towarzyszyło mu spojrzenie drugiego człowieka, którego nie rozpoznawał. Szlachetną laską, która służyć miała za wsparcie, wystukiwał sobie tylko znany rytm. Spektakl trwał do czasu odnalezienia wąskiej, zamkniętej uliczki. Przystawał wtedy przy ścianie opuszczonego domu, bezsilny, wsparty o laskę, niezauważony.

Strój jego należał do nienagannych, przygotowany dzień wcześniej czekał porannego przyodziania. Jerzy z fantazją dobierał do niego apaszkę. Okrywała szyję, która zdradzała wiek sędziwy, w kolorze finezyjnym odwracała zdaniem jego uwagę od twarzy, na której widniały ślady minionych lat. Wszystko, co czynił, zakłamywało rzeczywistość.

Nazywał siebie sierotą, kiedy wypowiadał te słowa, miał przed oczyma grób dziadków. Matka i ojciec żyli, czekając całymi dniami jego wizyty. Wstyd za miejsce urodzenia, za rodziców, którym nie dane było poznać świata, w zawstydzeniu swej prostoty milknących, kiedy nadchodził czas przedstawienia przypomina upadek. Grzech wołający o pomstę. Nic nie usprawiedliwi wstydu za dom rodzinny. Jerzy nie wspomniał nigdy nikomu o swym pochodzeniu. Zatracając wspomnienia, stawał się z upływem lat coraz bardziej samotny i zawistny.

W wieku trzydziestu lat założył kancelarię adwokacką. Ubodzy nie mieli do niej wstępu. Nie wiedział wtedy, że u kresu życia pozostanie sam. Nie przypuszczał, że kiedyś jeszcze powróci do miejsca, w którym narodziła się wzgarda do drugiego człowieka. Nie wiedział też, jak przewrotny bywa los.

W wyobraźni przepołowił świat na dwie części. W pierwszej odnalazł swoje miejsce. W rynsztoku, który przyjmował całą ohydę, jakiej dotknąć może człowiek. W ściekach chciwości odnajdywał innych. Pomiędzy drogą, która wyznaczała kres życia, a domami, miejscem najdroższym, popłynął potok, którego nikt nie był w stanie powstrzymać. Pycha nie grodziła dostępu.

Od samego początku nie liczył się dla niego człowiek. Życie czyjeś stawało się potencjalnym zyskiem. Zatracał się w przewidywaniach wygranej, która mogła zbliżyć go nie tylko do cyfry powiększonej, nade wszystko do środowiska, które przyjmowało wybranych, na uwadze mając koneksje. Urodzenie miało znaczenie, pieniądz miał jednak większe.

Złoty cielec zastąpił inne pragnienia. W ubóstwie myśli nie rodzą się wielkie plany sięgające potrzeb umysłu. Te najczęściej spoczywają w zapomnieniu, śladu swej obecności nie nakreślając, nie przez zawstydzenie, tylko przez pewność, że nikt ich nie czeka.

Pojawiali się na jego drodze ludzie, których historie znał. Matki z dziećmi, które nigdy nie zobaczą ojca, nie poznają nawet jego imienia i nazwiska. Żony zepchnięte na kraniec świata myśli o samobójstwie. Mężczyźni na kształt bezradnych dzieci szukający wolności w ukojeniu myśli, w zapomnieniu nałogu. W ich światach odnajdywał swój, który porzucił. Widział w nich wszystkich świadków własnego życia. Tym bardziej ich odrzucał.

Zmiana w nim następowała powoli, przypominała kroki, którymi odmierzał każdą przestrzeń. Świat obliczeń nie pozostawiał najmniejszej luki. Spotkanie z kimś nowym zaczynało się od wyceny najmniejszej części garderoby. Rysy twarzy rzadko podlegały selekcji, nie skupiał się na spojrzeniu, uważał, że spoglądanie wprost w czyjeś oczy rodzi pewną bliskość, która prowadzić może do zmiany postrzegania statusu.

Zatracał własną osobowość, przypominał kameleona, który w stanie jest zmienić swoje ubarwienie w zależności od towarzyszących mu emocji. Oczy jego podobne były do gada w chwili, kiedy nieruchomiały. Wszystko, co czynił, czynił na pokaz.

W chwilach samotności nie mógł odnaleźć miejsca. Nikt nie spoglądał na niego, nie podziwiał. Niekiedy odnosił wrażenie, że za plecami jego stoi dawny nauczyciel łaciny, surowy, wymagający, bezwzględny. Najmniejszy szelest przypominał mu uderzenie jego laski o blat biurka. Do dziś pamiętał sentencje w języku już umarłym. Jedna z nich, Wegecjusza, szczególnie utkwiła mu w pamięci: *Si vis pacem, para bellum*. Uczynił z niej dewizę życiową. Bezwzględność profesora budziła szacunek, jedwabna jego apaszka podziw.

Własne towarzystwo sprawiało mu największą przykrość. Nie był w stanie przebywać z samym sobą. Nigdy nie uzmysłowił sobie, że nie był odosobniony. Nie mógł wiedzieć, nikt nie przyzna się do tak wielkiej porażki.

Czekał spotkań z ludźmi określonymi przez swoje pasje, które najczęściej przypominały projekcje niemego kina. Zapomnianego pianistę zastępowała muzyka dobrana z początku dla potrzeb opowieści. Po chwili nikt nie zważał na nuty, które w swym szlachectwie i prawdzie wiodły dalej, do melodii, której nikt nie czekał. Uzmysławiała zebranym pewną powtarzalność czynów haniebnych, nieokreślonych przez słowa. Niewypowiedziana myśl niekiedy staje się pokutą.

Przy stole zastawionym jadłem wykwintnym zapadały wyroki. Przewidziane lata, skazujące na niepamięć, wykreślały portret. Szyderczy śmiech pobrzmiewał, ostatnie słowa odbijały się od ścian echem, w którego odpowiedź nikt się nie wsłuchiwał. Jerzy zatracił własne ja na rzecz obecności w świecie, w którym wszyscy podobni byli do siebie. Nikt nie śmiał się wyróżniać, nie chcąc być potępionym.

Na samym początku wyrzekł się rodziców, następnie ludzi, których znał od dzieciństwa. Najszlachetniejsi z nich nigdy nie zaprzedali siebie, mając wybór, nie sprzeniewierzyli się własnej wybranej drodze. Zostali pogardzeni, uznani za nieudolnych.

Po latach Jerzy powrócił do miejsca swych narodzin. Próbował odnaleźć siebie z dawnych lat, które upływały niepostrzeżenie, pozostawiając wspomnienia. Porzucił je, wzgardził czasem bezcennym, raz darowanym. Przechodził przez rynek miasteczka, w którym się urodził, nie podążał śladami przeszłości, zatarła je pamięć. Spoglądał na nagie konary drzew, liście opadłe wokół. Szelest ich przypominał zapomnianą pieśń matki, snującą się pośród izby ubogiej. Opowieść o świecie, w którym szlachetna myśl określa człowieka, niedopuszczająca zaprzedania, kłamstwa i chciwości.

Snuła się dalej. Niezauważona przez innych, dostrzeżona przez pychę, zakończyła swój wątek.

Stary Dzików (IV)

W latach powojennych handel i skup płodów rolnych prowadziła Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska". GS odgrywał w owym czasie bardzo ważną rolę w zaopatrzeniu mieszkańców w opał, nawozy sztuczne, produkty codziennego użytku i narzędzia rolnicze. Transportem samochodowym towarów masowych ze stacji kolejowej Oleszyce i Lubaczowa zajmowała się Stacja Transportu Wiejskiego (STW). Materiały typu: węgiel, cement, nawozy z samochodów w Starym Dzikowie rozładowywali: Jerzy Józefowicz, Stanisław Goraj, Leon Grzebiennik, Julian Grzebiennik.

GS rozwinął sieć sklepów nawet w małych przysiółkach. Otworzył również duży pawilon handlowy, restaurację „Dzikowianka", piekarnię, której kierownikiem był Jan Żyła, wcześniejszy wieloletni kierowca zaopatrzeniowiec. Kierowcy, którzy dostarczali towar (samochodami typu Robur i Żuk) do sklepów to: Michał Witko, Emil Firut, Julian Jabłoński, Kazimierz Bednarz i Mieczysław Grochowicz. Magazynierami towarów masowych (węgiel, wapno, cement, nawozy, pasze) byli: Kazimierz Kuca i Stanisław Padowski. Pierwszymi założycielami GS-u na początku lat 50. w Starym Dzikowie byli: Józef Nieckarz (Tuz), kolejnymi prezesami GS-u byli: Kisz, Młodziński, Michał Jabłoński, Mieczysław Ozimek, Jan Niemiec i Bronisław Buniowski.

Najdłużej funkcję prezesa sprawował Michał Jabłoński: od 1965 do 2015 r. W latach jego urzędowania nastąpił największy rozwój bazy handlowej i skupowej w postaci nowo wybudowanych sklepów, magazynów nawozowych i zbożowych, piekarni, restauracji, biura, punktów skupu zwierząt, składu opału. Poprawa bazy handlowej pozwoliła na poszerzenie oferty towarowej i duży wzrost obrotów handlowych. Referentami i pracownikami GS byli: Jan Fila, Anna Ozimek, Maria Goraj, Maria Staroń, Halina Wawrzyniec, Maria Nieckarz, Maria Duda, Alicja Jabłońska, Andrzej Zając. Głównymi księgowymi byli: Tadeusz Pachulicz, Marian Nieckarz, Krystyna Mach, Jan Żyła, Stefania Sierkowska, Janina Sokal, Maria Czarna. Obecnie dawne GS-y upadają ze względu na wolnorynkową konkurencję. Po 2000 roku GS podupadł finansowo i organizacyjnie. Magazyny nawozów wykupił miejscowy przedsiębiorca i przebudował na dom weselny z hotelem, zaś pawilon handlowy został wykupiony przez firmę AGROMAL, która w dolnej części urządziła sklep, a w górnej pomieszczenia mieszkalne; sklepy w poszczególnych wsiach przejął samorząd na cele świetlicowe, a inne obiekty sklepowe wykupiły osoby prywatne.

Na początku lat 50. ubiegłego stulecia w Starym Dzikowie powstał PGR posiadający początkowo około 500 ha, a w latach 80. powiększył się do ponad 1600 ha. Gospodarstwo osiągało niezłe wyniki w produkcji roślinnej i zwierzęcej pod rządami kierowników: Jana Mydla, Adama Pilawa, Pawła Deca, Józefa Michalika i Andrzeja Gontarza, Jana Chmielowskiego; pomocą byli księgowi: Janina Żyła, Agata Goraj, Maria Karwan, brygadziści polowi: Paweł Karwan, Eugeniusz Bąk, Wojciech Wingert, Jan Sura, Tadeusz Szczepanek, brygadziści oborowi: Władysław Jabłoński, zootechnicy: Aniela Dec, Teresa Nieckarz, Maria Sobczyszyn, Urszula Chmielowska, jak również traktorzyści oraz kierowcy samochodów: Jan Mach, Kazimierz Ozimek, Julian Kamela, Bogusław Żyła, Józef Kowalik, Marian Sobczyszyn, Edward Mazur, Tadeusz Witko, Stanisław Horajski, Tadeusz Barszcz, Klemens Sitarz, Edward Garbarz, Mieczysław Nieckarz, Antoni Kudła, Józef Strycharz, Edward Nieckarz, Zdzisław Karwan, Wiesław Mach, Stanisław Rokosz, robotnicy fizyczni i wielu innych. Wieloletnim mechanikiem w gospodarstwie był Edward Symków, a magazynierem Mieczysław Kuca.

PGR w Starym Dzikowie był przykładem gospodarności i dobrego zarządzania. W 1987 roku PGR w wyniku reorganizacji wszedł w skład Kombinatu Rolno-Przemysłowego „IGLOOPOL" w Oleszycach z siedzibą w Dębicy. Mimo tego reforma Balcerowicza spowodowała upadek PGR. Pozostał po nich tylko ogromy majątek i bezrobotni robotnicy rolni. Po 1993 roku nastąpiła masowa wyprzedaż ziemi, ciągników i sprzętu rolniczego na przetargach organizowanych przez Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa. W okresie gospodarki nakazowo-rozdzielczej instytucje typu GS, SKR, PGR funkcjonowały poprawnie, gdyż były system sprzyjał rozwojowi i był wspierany finansowo przez ówczesne rządy.

Bogactwem naturalnym gminy Stary Dzików jest gaz ziemny, wydobywany od początku lat 60., był początkowo kierowany i oczyszczany w Uszkowcach. Obecnie na terenie pola górniczego gminy jest kilkanaście odwiertów, z których eksploatuje się gaz i dostarcza do oczyszczalni w Nowym Dzikowie. Ciekawostką jest to, że gmina Stary Dzików do roku 2020 nie jest zgazyfikowana z uwagi na brak zainteresowania po stronie mieszkańców.

W okresie PRL funkcjonowały Gminne Komitety PZPR. Rolą ich było wspieranie i inicjowanie działań gospodarczych, społecznych ówczesnych władz lokalnych. Sekretarzami KG PZPR w Starym Dzikowie byli: Andrzej Gryniewicz (przewodniczący GRN), Ryszard Argasiński, prezesem GK ZSL był Władysław Zając, a sekretarzem KG ZSL był Jan Kudła. W latach 70. władze partyjne PZPR, aby zmobilizować swoich członków do większej aktywności, organizowały czyny społeczne, które polegały na wykonywaniu prac na rzecz gminy najczęściej w niedzielę.



Zakład Wojciecha Piaseckiego

Przykładem nowoczesnego rolnictwa połączonego z przetwórstwem owocowym po 2008 roku jest gospodarstwo Wojciecha Piaseckiego mieszczące się w nowo wybudowanych budynkach przy ulicy Leśnej, po dawnym PGR na Lebiedziach. Większość popegeerowskich budynków została wyburzona, niektóre zmodernizowano, zaś na ich miejscu powstała nowoczesna przetwórnia, przechowalnia i chłodnie. Powierzchnia gospodarstwa wynosi około 350 ha, a profil produkcji obejmuje uprawę: aronii, maliny, porzeczki, borówki amerykańskiej. Zakład posiada wykopane zbiorniki z wodą wraz z systemami nawodnienia upraw. Pomysł pana Piaseckiego bardzo dobrze realizował pierwszy zarządca gospodarstwa Zbigniew Bajkowski.

Wieś Miłków należała do gminy Stary Dzików, a po wojnie przestała istnieć. Większość gruntów uległo naturalnemu zalesieniu i należą do lasów państwowych. Część gruntów, głównie łąki, należały do Państwowego Funduszu Ziemi. Pomysł na zagospodarowanie tych łąk miał Antoni Cierpisz, który je zakupił w połowie lat osiemdziesiątych przy pomocy ówczesnego wójta gminy Stanisława Zająca. Miał plany stworzenia na terenach bagiennych stawów rybnych, do których spływały dwa potoki. Pomysł swój zaczął urzeczywistniać. Olszynę rosnącą na łąkach karczował i sprzedawał zakładom drzewnym, gromadząc środki finansowe na dalszą realizację pomysłu. Ponadto zatrudnił się jako zaopatrzeniowiec w SKR. W plan stworzenia stawów rybnych zaangażował swoją żonę Janinę oraz brata Adama, wraz z którym swoimi koparkami w środku lasu kopali staw. Z biegiem lat gospodarstwo rybackie zaczęło się powiększać, właściciel zaczął je zarybiać, na wędkowanie zaczęli przyjeżdżać okoliczni wędkarze, nawet z Jarosławia. Pomysł zaczął przynosić zyski, co skutkowało dalszymi inwestycjami.

Powstał budynek wraz z infrastrukturą rybacką. Niestety Antoni nagle zmarł, a prowadzenie stawów spadło na jego żonę Janinę, syna Marcina i brata Adama. Mimo wielu przeciwności losu stawy Miłkowskie stały się miejscem rekreacji nie tylko dla okolicznych wędkarzy. Nie bez znaczenia były tu zaangażowanie i pracowitość pomysłodawcy tego przedsięwzięcia Antoniego Cierpisza, dowodząc, że dobry biznesplan i ciężka praca przynoszą wymierne efekty. Stworzył on w środku lasu, na wydałoby się bezużytecznych, podmokłych terenach wyjątkowe miejsce i prężnie działające przedsiębiorstwo.

Rok 1989 przyniósł zasadnicze zmiany w sytuacji polskiej wsi, wprowadzając mechanizmy rynkowe. W wyniku mechanizacji gwałtownie zmalało zatrudnienie w rolnictwie i przekształceniu uległa struktura zawodowa wsi. Przyspieszeniu uległy również przemiany cywilizacyjne, ale jednocześnie pogłębiły się różnice w poziomie życia poszczególnych grup mieszkańców wsi. W latach 90. transportem zajmował się Józef Firut, który swoim „Jelczem" wykonywał usługi transportowe dla mieszkańców różnorakich towarów takich jak: drewno, młóto, węgiel, zboże, kruszywo.

Henryk Goraj

W zimie



Znikły ptaki, odleciały
Śnieg wybielił okolicę
Mrozem z zawieją wystraszył.
Wszystkich, wszystko wrony kruki
Rozochocił, by krakały
Straszyły zimą przestrzenie
W które zza okna, wpatrzony
Siedzę smutny, zamyślony
Tą białawą nierealną.
Piękną, zarazem okrutną.
Z zimnym światłem księżycowym
Z mruganiem gwiazd z bieli śnieżnej
W ogrodzie przy domu w sadzie
Zza okna w wielkiej ciszy
Gdy zarysy domów drgają.
Sąsiadów z pustej ulicy
Gdy śnieg biały pada, pada
Smutny siedzę zamyślony.

Adam Wolańczyk Dolny Śląsk

ŚWIATŁO BETLEJEMSKIE

W Konkatedrze Parafii św. Stanisława w Lubaczowie 19.12.2020 roku harcerze przekazali dziekanowi i zarazem proboszczowi Andrzejowi Stopyrze przywiezione z Groty Betlejemskiej Światło Pokoju będące symbolem pojednania. To światło mogły zabrać osoby uczestniczące w mszy św. i przekazać je wszystkim mieszkańcom ziemi lubaczowskiej i nie tylko.



W spotkaniu przekazania Światła Pokoju brali również udział harcerze z całego powiatu lubaczowskiego oraz delegacja harcerzy z Suśca wraz z komendant Hufca w Tomaszowie Lubelskim Anną Rojek. Otrzymane przez nią Światło Pokoju będzie przez harcerzy przekazywane mieszkańcom powiatu tomaszowskiego.

Roman Zegarlicki

Listy

Szanowny Panie Redaktorze,

proszę o sprostowanie artykułu Adama Łazara „Moje spotkania z kulturą" dotyczącego Teatru Światła „Magapar" w najnowszym wydaniu „Kresowiaka Galicyjskiego". Odnosi się Pan w nim do folderu Miejskiego Domu Kultury wydanego przez Urząd Miejski w Lubaczowie, którego ja jestem autorką. Pragnę Pana poinformować, że przy tworzeniu do niego treści opierałam się na dostępnych materiałach prasowych, kronikach MDK, wydanych folderach i rozmowach. Starałam się wykonać swoją pracę solidnie.

Jak wynika z wydanego folderu Magaparu (załączam jego fragmenty do listu), którego autorem jest założycielka grupy, Pani Barbara Thieme, Teatr powstał w 1984 r. Ta data powstania zespołu również widnieje na oficjalnej stronie internetowej Magaparu: „Teatr Światła prowadzony przez Barbarę Thieme, również reżysera, scenografa, choreografa, autorkę scenariuszy – istnieje od 1984 roku" (https://magapar.com/?page_id=7). Uważam, że powyższe źródła są dokumentami rzetelnymi, tym bardziej, że wyszły spod pióra założycielki Teatru.

Korzystając z okazji, pozwolę sobie odnieść się do zarzutu „ogólnikowości" tekstu. Niestety w tego typu publikacji, jaką jest folder, nie ma miejsca na zamieszczenie całych dziejów instytucji. Jak sama nazwa wskazuje, folder nie jest monografią. Nadmieniam, że wiele trudności sprawiło mi dokonanie syntezy całości materiału i wybrania najistotniejszych faktów, tym bardziej, że wydawca znacznie okroił mój pierwotny tekst. Ubolewam nad tym, że wiele innych ciekawych informacji musiało zostać pominiętych. Mam nadzieję, że w przyszłości uda się władzom miejskim znaleźć środki finansowe na wydanie publikacji, która mieściłaby w sobie szczegółową historię MDK, a także opisy wszystkich osób związanych z tą jednostką.

Pozdrawiam

Iwona Marcyniuk (Hojdak)

***

Odpowiedź Pani Iwonie M.

Spełniam Pani prośbę i prostuję swoje zdanie napisane w publikacji „Moje spotkania z kulturą" zamieszczonej w ostatnim numerze „Kresowiaka Galicyjskiego", a dotyczące daty powstania teatru „Magapar". W folderze o Miejskim Domu Kultury podaje Pani rok 1984. W swoim artykule podważyłem tę datę, pisząc: „to mija się z prawdą". Podaje Pani dwa źródła, z których korzystała – folder „Magapar" i stronę internetową teatru. Uznając je za prawdziwe, zmieniam swoje zdanie i stwierdzam, że miała Pani podstawę napisać w folderze taką datę powstania teatru. Nie było moim zamiarem podważyć Pani rzetelność czy kompetencje, a ustalić prawdziwą datę. Jeśli odebrała Pani to inaczej, to serdecznie przepraszam.

Proszę zrozumieć moje argumenty. W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy narodził się teatr „Magapar", dziennikarze w swoich publikacjach podawali rok jego powstania – 1983. Czyni tak autor artykułu pt. „Amatorzy na scenę!", zamieszczonym w „Widnokręgu" nr 16 (dodatku kulturalno-oświatowym do gazety „Nowiny" z dnia 25 czerwca 1985 r.) oraz inny autor artykułu pt. „Nauczyciele z pasją", który napisał: *Mgr Barbara Thieme – polonistka w Szkole Podstawowej Nr 2 w Lubaczowie – przed trzema laty założyła teatr form plastycznych „Magapar"*. W dalszej części artykułu ukazuje on osiągnięcia zespołu. Artykuł ukazał się w „Widnokręgu", dodatku „Nowin", 9 września 1986 r. *Trzy lata temu,* czyli w 1983 r. Tę datę potwierdził benefis zorganizowany na trzydziestolecie działalności teatralnej z „ Magaparem" Barbary Thieme. W laudacji usłyszeliśmy: „W 1983 r. dojrzał w niej pomysł wraz z grupą zdolnej młodzieży, gotowej do współpracy stworzenia teatru. I go stworzyła" (artykuł „Benefis Barbary Thieme", zamieszczony w „Kresowiaku Galicyjskim" z października 2013 r.).

Data benefisu – 31 sierpnia 2013 r. – potwierdza powstanie teatru w 1983 r. Tej daty, podanej w cytowanych artykułach, nikt nie poprawiał przez 37 lat i ja czynić nie będę. Przyjmuję za prawdziwą, jak i tę podaną przez Panią. Różnica dat może wynikać z posługiwania się przez nas różnymi kalendarzami. Ja posługuję się kalendarzem szkolnym (od września do grudnia jednego roku i od stycznia do sierpnia roku następnego).

Nie zarzucam Pani ani „ogólnikowości" tekstu folderu, ani solidności w jego opracowaniu. Wręcz przeciwnie. Wykonała Pani ogrom pracy w gromadzeniu materiałów do napisania tej publikacji, za którą my, regionaliści, jesteśmy wdzięczni. Przyszło Pani poruszać się po temacie, którego nikt wcześniej nie podjął, nie napisał w formie obszernego artykułu, nie mówiąc o monografii. Pani folder o MDK jest pierwszym krokiem w tym kierunku. Mam nadzieję, że wykona Pani kroki następne.

Adam Łazar

***

Doszły mnie „słuchy", że wreszcie ma ruszyć budowa obwodnicy Narola. Mieszkam obecnie w Lublinie, ale pochodzę z Narola i często do niego przyjeżdżam. Publikował Pan już art. uzasadniający konieczność jej budowy jeszcze w... 2010 r. W Narolu – pęka kościół, jego mury, kaplica na cmentarzu, no i wiele domów. Ostatnio czytałem w Kresowiaku, że most na Tanwi był już 4x remontowany! To są argumenty nie do zbicia i obwodnica Narola powinna była być zbudowana jeszcze przed obwodnicami Cieszanowa i Oleszyc – bo o podobnych uszkodzeniach w tych miastach nic Pan nie publikował. Głosuję ZA obwodnicą dodatkowo ze względów bezpieczeństwa na drogach oraz ze strategicznego punktu widzenia terenów nadgranicznych. Pozdrawiam Pana,

Józef Waniurski prof. dr, Politechnika w Lublinie

JÓZEF PIŁSUDSKI W HISTORII NAROLA MIASTA



W 1928 roku odbyły się wybory do Sejmu Rzeczypospolitej. Społeczeństwo Narola Miasta (taka była oficjalna nazwa) było bardzo patriotyczne. Zasługa w tym nauczycieli Szkoły Podstawowej w Narolu i czteroklasowych w okolicznych miejscowościach. Ta praca nauczycieli ma odzwierciedlenie w protokołach Gminy Wspólnej Narolskiej (w tym czasie w Narolu Mieście były trzy gminy: gmina chrześcijańska, żydowska i gmina wspólna – radni polskiego pochodzenia i radni żydowscy tworzyli gminę wspólną).

Przed II wojną światową w Narolu były dwie znaczące rodziny Zuchowskich: rodzina Leona Zuchowskiego i rodzina jego brata Jędrzeja. Bogatszy Leon trafił do niewoli rosyjskiej, gdzieś daleko na Ukrainie.

Po zakończonej I wojnie światowej powrócił do Narola. Na dużym własnym placu przy ulicy Legionów (dzisiaj to ulica Podzamcze) miał zakład, w którym garbowano, czyli wyprawiono skóry różnego rodzaju. Leon Zuchowski zatrudniał w tym zakładzie kilku czeladników, a także robotników rolnych. Jędrzej Zuchowski, brat Leona, w Narolu pełnił funkcję Komisarza Rządowego. W 1928 roku został wybrany na kandydata na posła z ramienia BBWR. Wszyscy Polacy w Narolu i z okolicznych wsi popierali Jędrzeja Zuchowskiego. Żydzi narolscy w tym czasie mieli swojego kandydata, który w wyborach w 1928 roku uzyskał zbyt mało głosów.

Narol Miasto po odzyskaniu niepodległości nie miało praw miejskich. Jego mieszkańcy już w pierwszych latach po zakończeniu I wojny światowej czynili starania o odzyskanie prawa miejskiego. A to wiązało się z większym rocznym budżetem.

Sprawa uzyskania praw miejskich dla Narola Miasta nabrała rozpędu. W protokole nr 3 z dnia 24 marca 1928 roku czytamy: „Zebrani radni przyjmują do wiadomości pożegnanie Komisarza Rządowego Andrzeja Zuchowskiego z okazji wyboru na posła na Sejm z równoczesnym zastępstwem na czas jego nieobecności przez zastępcę Komisarza Rządowego Gardę Władysława, który od dnia powyższej uchwały urzędowanie obejmuje". Poseł Jędrzej Zuchowski w Warszawie czynił starania o zdobycie większych funduszy dla Narola Miasta. Droga do tego prowadziła poprzez uzyskanie uprawnień finansowych gmin miejskich. Już we wrześniu 1929 roku w protokole Rady Gminy z dnia 27 września czytamy: „Zebrana Rada Gminna uchwala jednogłośnie odnieść się z prośbą do władz kompetentnych celem nadania gminie Narol Miasto „uprawnień" finansowych gmin miejskich". Ten zapis świadczy, że wszyscy radni jeszcze przed 27 września – tak Polacy, jak i Żydzi – członkowie Rady – zgadzali się na propozycję, którą z pewnością przywiózł poseł narolski z Warszawy.

Ważnym atutem posła Zuchowskiego w staraniach w Warszawie był ogrom zniszczeń Narola w czasie I wojny światowej. Wojska austriackie w 1914 r., wycofując się przed przeważającymi ilościowo wojskami rosyjskimi, spaliły (1914 rok) wszystkie domy mieszkalne w rynku, stary drewniany ratusz stojący kilka metrów od obecnego, później wybudowanego (w okresie międzywojennym zwanym w Narolu „Polskim Domem"). Spalił się również wykonany z gontów drewniany dach na kościele narolskim. Msze w tym czasie odbywały się w nowej narolskiej szkole (budowę tej szkoły ukończono w 1907 roku). Z ofiar społeczeństwa Narola zakupiono drewno w lasach barona Wattmana, część tego drewna zabrało wojsko niemieckie na budowę mostu na rzece Tanew. W 1915 roku mieszkańcy Buffalo w USA zakupili dzwon, który później został zawieszony na wieży tak zwaną „sygnaturkę".

Jeszcze przed zakończeniem I wojny światowej konserwator krajowy Tadeusz Szydłowski z Krakowa przydzielił parafii narolskiej 1700 koron na odbudowę kościoła. Parafia otrzymała też pożyczkę z Rządowego Banku w kwocie 15 000 koron. Wspólnymi siłami odbudowano kościół i w 1918 roku odprawiano w nim nabożeństwa, a wieża ukończona została dopiero w 1925 r. ze składek parafian. Ołtarz do narolskiego kościoła zakupiła hrabina Korytowska we Lwowie (był on kiedyś ołtarzem w parafialnej części kościoła Świętej Marii Magdaleny, ufundowany przez Agenora Gołuchowskiego, namiestnika Galicji w 1842 roku). Ołtarz został przywieziony ze Lwowa pociągiem, a do Narola z Bełżca saniami.

Radni gminy narolskiej już w 1930 roku „czuli", że sprawa uzyskania uprawnień finansowej gminy miejskiej będzie załatwiona pomyślnie. Zebrani radni w dniu 11 czerwca 1930 roku pozwolili sobie na głośne marzenia o rozbudowie Narola, który w tym czasie był w granicach wyznaczonych jeszcze za Floriana Łaszcza Nieledewskiego (Krupiec przyłączony został do Narola w 1935 roku na mocy uchwały Gminnej Rady).

W protokole nr 7 z 1930 roku czytamy: „Przy obecności Wp starosty omawiana była sprawa gospodarki gminnej, w szczególności uregulowania miasteczka Narola Miasta, rozbudowa dróg łączących sąsiednie powiaty, sprawy, w szczególności dotyczące rolnictwa, sprawy oświatowe, zwłaszcza nadbudowa szkoły 7-klasowej w Narolu, w końcu stworzenia wielkiego miasta przez przyłączenie najbliższych sąsiadujących gmin wiejskich".

W Narolu Bronisław Wiciejowski, którego znałem osobiście, prowadził amatorski zespół teatralny. Młodzi chłopcy i dziewczęta solidnie przystąpili do prac: doskonale wyuczone role, poszyte samodzielnie stroje, wyjazdy z występami do najbliższych miejscowości, wreszcie udział w konkursie wojewódzkim i wyjazd do Lwowa. Tam zdobyto czołowe miejsce i nagrody finansowe. Sam poseł Zuchowski grał w jednej ze sztuk, o czym nie zapomnieli mi opowiedzieć świadkowie tamtych wydarzeń.

W protokole z dnia 28 stycznia 1930 r. w punkcie czwartym czytamy: „Zebrana Rada Gminna uchwala większością głosów na prośbę radnych Izraelitów przemianowanie ul. Lwowskiej na ulicę pod nazwą Błogosławionego Reicha Leona". Nie wszyscy radni Polacy zgodzili się na zmianę nazwy (była to ulica zamieszkana wyłącznie przez Żydów, przy tej ulicy stała też 400-letnia synagoga spalona w czasie I wojny światowej). W punkcie 5 tego protokołu czytamy: „Zebrana Rada Gminna uchwala jednogłośnie na wniosek pana Jaroszewskiego (ówczesnego dyrektora szkoły w Narolu – H.W.) i pana Mulaka Antoniego przemianować ulicę Warszawską na ulicę Piłsudskiego". Zaczynała się ona od rynku i biegła w stronę pałacu. Przy tej ulicy przed II wojną światową na wprost figury Świętego Jana Nepomucena znajdowały się jeszcze założone przed I wojną światową: poczta, telegraf i telefon.

Sprawa zmiany nazwy ulic na zebraniu radnych w styczniu 1930 roku została załatwiona pozytywnie. Niespodziewanie prawdziwe poglądy ludności polskiej w Narolu ujawniły się w następnych dniach, kiedy przy lampach naftowych zaczęto dyskutować o zachowaniu się polskich radnych w czasie obrad Rady Gminnej i dopuszczeniu do zmiany nazwy ulicy. Z relacji najstarszych mieszkańców Narola dowiedziałem się, że po tej zmianie nazwy ulicy Lwowskiej młodzi chłopcy kijami o późnej porze wieczornej, kiedy radni Polacy leżeli już w łóżkach, uderzali po okiennicach i szybko uciekali. Gospodarz zrywał się wówczas z łóżka i największym przekleństwem obrzucał złośliwców. Po miesiącu takiej zabawy radni Polacy zwołali ponownie radę bez radnych żydowskich. W planie obrad był tylko jeden punkt: przywrócenie starej nazwy „Lwowska".

W 1935 roku po śmierci Józefa Piłsudskiego radni Gminy Wspólnej w Narolu nadali marszałkowi tytuł honorowy obywatela Narola Miasta. Władze powiatowe w Lubaczowie po II wojnie światowej nie wiedziały, że marszałek Piłsudski jest honorowym obywatelem naszego miasteczka. Dopiero po wmurowaniu tablicy pamiątkowej ujawniłem fakt przynależności Józefa Piłsudskiego do Gminy Narolskiej.

Henryk Wolańczyk

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213
Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, kom. 661 631 213
Redaktor naczelny: Marian Ważny
Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder (lidiaswider@poczta.fm)
Współpracują: Wiesław Kołodziej, Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Adam Łazar, Zygmunt Florczak, Edward Dziaduła, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak, Henryk Wolańczyk, Adam Wolańczyk
e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl
Druk: „Bonus Liber" Sp. z o.o. Drukarnia i Wydawnictwo Diecezji Rzeszowskiej, 35-020 Rzeszów, ul. 17 Pułku Piechoty 7, tel. 17 852 59 38, kom. 790 804 406, www.bonusliber.pl, e-mail: biuro@bonusliber.pl



KRONIKA POLICYJNA

30 listopada

Ok. godz. 18.30 małżeństwo z gminy Oleszyce, robiąc zakupy w jednym z lubaczowskich supermarketów na ul. płk. Dąbka, zauważyło mężczyznę, który kupił alkohol, a po wyjściu chwiejnym krokiem ze sklepu, wsiadł za kierownicę osobowego citroena. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, świadkowie zadzwonili pod numer alarmowy i w tym momencie kierowca citroena ruszył z parkingu w kierunku centrum miasta. Małżeństwo pojechało za nim, będąc w stałym kontakcie telefonicznym z dyżurnym lubaczowskiej komendy, który przekazywał patrolowi informacje o kierunku jazdy pijanego kierowcy. Z relacji świadków wynikało, że mężczyzna jechał zygzakiem i nie zatrzymał się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu ul. 3 Maja i Wyszyńskiego. W Baszni Dolnej kierujący, na widok jadącego na sygnałach radiowozu, zatrzymał się przed bramą jednej z posesji. Zanim wysiadł z samochodu, policjanci podeszli do niego i sprawdzili jego stan trzeźwości. Jak się okazało, podejrzenia małżeństwa były słuszne, gdyż badanie alkomatem 42-letniego mieszkańca gminy Lubaczów wykazało prawie 3 promile alkoholu w jego organizmie.

6 grudnia

W Lisich Jamach Grzegorz R., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował osobowym fordem.

10 grudnia

Przed godz. 15 dyżurny lubaczowskiej komendy otrzymał zgłoszenie, że na trasie Dziewięcierz – Niwki 47-letni mieszkaniec gminy Horyniec-Zdrój zauważył, że jadący przed nim kierowca ciężarowego nissana ma problem z utrzymaniem się na właściwym pasie ruchu. Podejrzewając, że może być pod wpływem alkoholu, wyprzedził go i zajechał mu drogę, zmuszając go do zatrzymania. Następnie podbiegł do samochodu, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i wezwał policję. Badanie alkomatem wykazało w organizmie 64-letniego mieszkańca Narola, kierującego nissanem, ponad 2 promile alkoholu. Policjanci zatrzymali mu prawo jazdy i odholowali pojazd na parking strzeżony.

13 grudnia

W Cieszanowie Stanisław S., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował motorowerem m-ki Piaggio.

14 grudnia

Na trasie Oleszyce – Sucha Wola Sławomir B., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem osobowym m-ki Mitsubishi.

17 grudnia

W Starym Lublińcu Przemysław P., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował osobowym oplem.

21 grudnia

W Lubaczowie Adam S., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował osobową toyotą.

22 grudnia

W Oleszycach na ul. Jarosławskiej przed godz. 17 52-letni mieszkaniec gminy Oleszyce przechodził przez jezdnię poza przejściem dla pieszych i został potrącony przez jadącą osobowym fiatem 45-letnią mieszkankę Lubaczowa. Kierująca była trzeźwa.

30 grudnia

W Lubaczowie Anna K., będąc w stanie nietrzeźwości, kierowała osobowym seatem.

30 grudnia

W Horyńcu Zdroju Mirosław J., wbrew postanowieniom *Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii*, posiadał marihuanę.

cd. ze str. 1

MIŁOŚNICY REGIONU

historyk, pracownik Muzeum Kresów. To oni I miejsce przyznali Mai Stupak ze Szkoły Podstawowej w Oleszycach za pracę pt. „Zaginiona wieś – Miłków", napisaną pod opieką Tymoteusza Furgały. II miejsce stało się udziałem Jakuba Żurawel z SP nr 1 w Lubaczowie za pracę pt. „Pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Lubaczowa 2-3 czerwca 1991". Opiekunem była Halina Zaniewicz. III miejsce zajął Oskar Sobolewski z SP nr 2 w Lubaczowie za pracę „Jan Paweł II w Lubaczowie", a opiekę sprawowała Marta Pachla.

Oceny prac plastycznych dokonali: Janusz Szpyt – artysta plastyk z Lubaczowa i Stanisław Sobczyk – artysta plastyk, emerytowany instruktor MDK w Lubaczowie. Spośród 30 nadesłanych prac najwyżej ocenili pracę Pauliny Krzemienieckiej, wykonanej pod kierunkiem Janusza Grechuty z Liceum Ogólnokształcącego w Lubaczowie. II miejsce zajęła Sofiia Lychman za pracę pt. „Ratusz w Oleszycach" powstałą pod kierunkiem Anny Kubrak z Zespołu Szkół w Oleszycach. III miejsce przypadło Barbarze Sobiegraj za pracę wykonaną pod nadzorem Anity Żmurko-Sieradzkiej ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Lubaczowie. Jurorzy także przyznali 5 wyróżnień. Otrzymali je: Adam Biernacki z Zespołu Placówek im. Jana Pawła II w Lubaczowie, Julia Kucia z SP nr 1 w Lubaczowie, Zofia Garbacz z SP w Horyńcu Zdroju, Nikola Kornaga i Zofia Leja z SP nr 2 w Lubaczowie.

Do oceny prac fotograficznych powołano jury w składzie: Tomasz Michalski – fotograf, miłośnik Roztocza i ziemi lubaczowskiej, Henryk Wacnik – fotograf, filmowiec. I miejsce przyznali Martynie Kiełbasa za komplet fotografii pt. „Cerkiew św. Paraskewy w Bruśnie", wykonany pod kierunkiem Małgorzaty Stelmach ze Szkoły Podstawowej w Horyńcu-Zdroju. II miejsce zajął Mateusz Pruchniak za komplet fotografii pt. „Lubaczowska Rogatka" wykonany pod kierunkiem Marty Pachli ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Lubaczowie. Na III pozycji uplasowała się Sofiia Lychman za komplet fotografii pt. „Cmentarz żydowski w Oleszycach", wykonany pod kierunkiem Anny Kubrak z Zespołu Szkół w Oleszycach. Jurorzy przyznali także 3 wyróżnienia dla: Rafała Paryniaka z SP w Oleszycach, Aleksandry Dec z SP nr 1 w Lubaczowie, Amelii Hulak z SP w Oleszycach.

– *Na tegoroczny konkurs „Wiem wszystko o swojej miejscowości" napłynęło mniej prac historycznych, aniżeli w poprzednich edycjach. Covid-19 znacznie ograniczył możliwości poznawcze młodzieży, jak odwiedzanie bibliotek, poszukiwania terenowe lub wywiady z seniorami, którzy „wiedzą wszystko o swojej miejscowości"* – powiedział w podsumowaniu konkursu dr Zygmunt Kubrak.

Za najlepsze prace młodzież otrzymała nagrody finansowe, dyplomy, statuetki oraz nagrody książkowe. W konkursie historycznym za I miejsce 400 zł, za II – 300 zł i za III miejsce 200 zł. W konkursie plastycznym i fotograficznym kolejno 200, 150 i 100 zł. Osoby wyróżnione otrzymały dyplomy oraz książki. Opiekunowie uczniów otrzymali podziękowania oraz upominki w postaci albumów książkowych.

– *Z powodu epidemii tegoroczne podsumowanie konkursu przybrało formę kilkuosobowych spotkań. Uczestnicy konkursu z poszczególnych szkół zgłaszali się do nas wraz z opiekunami w ściśle określonym terminie. Zarówno przebieg wręczania nagród, jak i wszelkie prace konkursowe i obrady jurorów odbywały się w reżimie sanitarnym lub on-line. Serdecznie dziękujemy wszystkim za udział w tej wyjątkowej edycji konkursu, której organizatorami były następujące instytucje: Miejska Biblioteka Publiczna w Lubaczowie, Urząd Miasta Lubaczów, Powiatowe Centrum Kultury w Lubaczowie, Muzeum Kresów w Lubaczowie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubaczowskiej* – powiedziała dyrektor Biblioteki Katarzyna Pelc-Antonik.

Adam Łazar

cd. ze str. 3

Ruda Różaniecka...

żaniecka słynie z hodowli karpia, który jest znany i ceniony ze względu na walory smakowe wśród licznych odbiorców.

– *Nagrodą za pierwsze miejsce w konkursie, oprócz dyplomu i statuetki, jest kosiarka samojezdna o wartości ponad 8 tys. zł. Radość z sukcesu jest tym większa, iż do konkursu przystąpiliśmy jako gmina po raz pierwszy. Jesteśmy dumni i zaszczyceni, mogąc pochwalić się tak wyjątkową miejscowością, którą doceniono na szczeblu wojewódzkim. Gratulujemy serdecznie mieszkańcom Rudy Różanieckiej oraz osobom, które zaangażowały się w przygotowanie materiałów konkursowych* – powiedział burmistrz Narola Grzegorz Dominik.

Adam Łazar

Wiele banków w jednym miejscu

Umów się na spotkanie
z ekspertem finansowym



Kredyty

- gotówkowe
- hipoteczne
- firmowe

ul. Rynek 1a, 37-600 Lubaczów
tel. 791 343 033, 607 828 656, 665 990 736

lendi
To, co naprawdę się liczy.